



Maryla Wolska

**Była raz
królowna**

Maryla Wolska

Była raz królewna...



Fundacja FESTINA LENTE

Na wysokiej górze stał gród królewski. Ogromny, warowny, niedostępny. Zdawało się, że to skała przeobrażona w zamek, albo grodzisko prawieczne, co się w skałę litą obraca powoli.

A na zamku starzał się król i rozkwitała córka-jedynaczka Oda. Królowna Oda.

Oczy jej były jasne jak bławat siwy od czerwcowej pogody, twarz o różanej bieli drobnych, wonnych powojów rosnących nisko w życie, okalały włosy bogato-złote, ciężkie, dojrzalsze od ust dziecinnych jeszcze, połyskujących bladawą purpurą czereśni.

Królowa umarła dawno i Oda zapamiętała jedynie szafirową suknię matki, tkaną w ostre złote gwiazdy, której połyskliwe zwoje słały się daleko poza brzeg trumny stojącej gdzieś bardzo wysoko, pośród żółtych, chwiejnych płomyków.

I nie wiadomo było Odzie, że matka, umierając, wyrzekła stygnącymi usty wróżbę nad dzieckiem, jako strzec się winne: świata, muzyki i pocałunku ust bezmiłosnych.

Nie śpiewano tedy żadnych pieśni nad królewską kołyską.

Zaparto przed dziecinnymi oczyma nie tylko bramy, ale i okien rozwory przejrzyste.

Milczeć kazano na zawsze opowieściom niańczynym, brakło odpowiedzi na ciekawe, natarczywe pytania królewny.

Nie całowały jej nigdy usta niczyje.

Rosła tak bez pieśni i pocałunku, bez powietrza otwartych, przestronnych błoni, w mniemaniu że zamek to świat.

Jakoż na grodzisku komnat było bez liku, nie wiadomo, która cudniejsza, żadna wszelako nie miała okna, by zeń w dalekość bezmierną popatrzeć. Jednolita powała z kryształu zamykała ściany, niby wieko skrzyni ozdobnej i tylko niebo widać było miast pułapu i chmury płynące po nim.

Długo ani się przyśniło królewnie, że tuż za grubymi murami grodu leży przestwór żywota ze wszystką dolą i niedolą, cudnością i szpetotą, że ziemia czterekroć w roku zrzuca przyodziewek, że się ludzie miłują i nienawidzą nawzajem, że nieogarnione rzesze narodów wadzą się ze sobą i znoszą, a czas płynie, rwie przed się, nieuproszony, nieodpłakany, jak fala.

Wiosna znaczyła się Odzie błękitem nieba na rozmarzłym kryształe pułapu, śmiganiem skrzydeł wracających ptaków, kwiatami znoszonymi jej z łąk i zagajów na wianki; woń ich szczerza i rzetelniejsza od mowy ludzkiej czyniła i jej myśli skorszymi do rozważań płonnych, usta do pytań, na które jednakże nie śmiał odpowiedzieć nikt.

Lato poznawała po wystygłych czeluściach kominków i lekkości szatek dobywanych dla niej przez dworki ze skrzyń modrzewiowych, po soczystej,

czerwiennej krasie jagód leśnych, które znowuż zapachem swoim prawily jej o boru i polu i słońcu, o tym słońcu zachodzącym w czasy owe na krótko, próżno zasłanianym oponami, którego spadziste promienie świeciły w komnatę z wysoka, natrętne, żarliwe, niewyzbyte.

Jesień wieściły jej tłumne poloty ptactwa, pierwsze błyskające ognie na paleniskach, jęk wichru w kominie i cudne owoce z królewskich sadów. Jabłka o policzkach kragłych, wycalowanych przez słońce do czerwoności, śliwy opylone błękitem dalekiej, nieznajomej pogody, winogrona pełne chłodnej jeszcze, niezbudzonej dziewczęcej krwi, krwi rubinowej i złotej. Jesienią zmierzch poczynał się też sypać coraz wcześniej, cicho jak popiół i Oda miewała tego popiołu pełne oczy, pełne myśli, pełne serce.

A w zimie kryształowe pułapy nie przepuszczały światła do wnętrza i mrok siwy panował w grodzisku. Wczas z południa zapalano świeczniki i łuczywa w komnatach i gdy wieczorny ogień zaszumiał na kominie, schodziły się cicho po kobiercach dworki w miękkim, ciepłym obuwiu i wyszywały w alkowie królewny dziwy wszelakie na krosnach. Małomówne były jednak i posepne zawsze, jakby z żalu o te pieśni i baśnie zamilczane, których słuchać nie było danym Odzie. Poznawała ona zimę w przygasłym wejrzeniu ich źrenic, w znużeniu rąk o chłodnych, zaróżowionych palcach i wiedziała, że to ona, zima, zawiesza te sople lodowe na ojcowskich wążach, gdy wraca skądciś

wieczorem, cały w ośnieżonych sobolach z kuszą i oszczepem przez plecy.

Miała pełne skrzynie szat najcudniej szych, sepety iskrzące od zapon drogocennych i pereł, miała bursztynowe kręgle i złote lalki, które stroiła w złotogłów i klejnoty jak siebie, otaczały ją sprzęty nieoszacowane zgoła o piękności kształtów i barw nieśnionej, błogo jej było, bezpiecznie jak orlęciu na gnieździe, jak pąkowi róży w doniczce, który odmyka się, nieświadom, że rośnie, że kwitnie, że cudny jest, i że młodość człowiecza jest jedna...

Czasem, gdy ją zabawa znużyła, ciskała w ogień swoje bursztynowe kręgle; bursztyn palił się, a dym niebieski wonny napełniał alkowę królowy. Zdarzało się, że jednego poranka rozdarowała dworkom wszystkie pozłociste lalki, a potem, po ciemku, do poduszki, płakała za niemi gorącymi, skrytymi łzami. Nazajutrz miała już nowe kręgle, stojące w karnym ordynku na marmurowych kwadratach posadzki, witał ją nowy orszak lalek w brokatach i drogich kamieniach.

Tak szedł dzień za dniem i rok za rokiem mijał.

Aż zdarzyło się raz, że wróg wtargnął w dziedziny ojczyste i posunął się aż pod sam królewski gród.

Król ruszył w pole z rycerstwem, Oda została pod opieką niewiast na zamku, jak zawsze.

W te dni ciężkie, dłużące się, duszne, czytać jeły jej oczy w zmartwiałych twarzach kobiet słowa tajonej udręki, aż ją samą ogarniać począł trwożny niepokój tamtych. A gdy spytała o przyczynę, pierwszy raz w układnej, ciemnej odpowiedzi dworek, tknął ją dźwięk

falszywy, z za którego przezierają prawda jakaś,
nieznana i groźna.

A chciała była pytać bez końca, bo czuła, że nie wie
coraz więcej — ale odpowiadać jej nikt się nie ważył na
grodzie.

Wreszcie, po dniach kilku, uczynił się późnym
rankiem ruch na grodzisku i jak płomień buchnęła w
górze wieść o królewskim zwycięstwie. Wtargnęła nie
wiadomo którądy, wichrem przeleciała po zamku — i
stało się wówczas, że wspaniały, potężnej piękności
dźwięk przeniknął grube mury i niespodziany, nic
niewiedzący o wróżbie matczynej, wstrząsnął sercem
Ody jak liściem bezszelestnym, wiosennym.

Skądże mogła przeczuć, że to zastęp zwycięskich
rycerzy śpiewa pieśń dziękczynną, radością tysięcznych
serc młodych i głosów?!

Oda słuchała a łzy wielkie, świetliste, płynęły jej z
oczu otwartych.

I wzięła ją ta cudność nieznana jak na skrzydła
szumiące i poniosła przez szeregi komnat, z których co
żyło wyległo już na podwórca i wały, przez puste
schody, nieznane jej oczom ni stopkom. Leciała temu
naprzeciw, a ono zaś płynęło ku niej, bliższe coraz i
dźwięczniejsze.

Nikt jej nie strzegł ni zatrzymał, wśród wesela i
zgiełku zapomniano o jedynaczce królewskiej.

A do niej, tym dźwiękiem nieznanego czaru, gadały
jakby owe nierozumiane zapachy jagód leśnych,
mienią się w nim radosne barwy kwiatów, rwanych na
swobodzie łąk, krążyło w tym coś, jak sok w owocu

słońcem rozgrzanym, jak słodka krew jabłek, śliw i winogrodu, rosnących kiedyś daleko, tam właśnie skąd szło to nieznajome, przecudne, to, czego sobie samej nawet nazwać nie umiała...

Wreszcie w otworze wąskich drzwi, na galerii kamiennej, biegnącej dokoła ogromnej, pustej sali, stanęła.

Przytulona do szarego filarka odrzwi, wprost schodów, wiodących stąd w dół ku sali, trwała zmieniona, zda się, w jeden z tych smukłych posążków wykutych w siwym ciosie, których całe rzesze stały we wnękach olbrzymiej komnaty, nieruchome, zasłuchane, jak ona...

A było niebawem patrzeć i na co... Bo oto z łomotem i chrobotem zbrój, z wrzawą huczną, buńczuczną, wparło się zwycięskie rycerstwo w podwórce i krużganki grodu. Ozwały się wołania szalone uciechą, ówdzie załamał się w jakiejś niewieściej krtani krzyk rozpaczny, by wnet zgłuszony drugim, spokojnieć w płacz zatracony w cizbie innych przelicznych głosów, co rwały ponad nim.

A poprzez wszystko niosło się tamto, najpiękniejsze, donośne, przemożne, płynęło, wzbijało się w górę jak ptak.

Z królem na czele wkroczyła starszyzna do wielkiej sali zamku.

Oda widziała, jak wedle ojca stapał jakiś wojownik chmurny, stary już, w czarnej zbroi i siwej grzywie włosów; lwia skóra spięta na piersiach ognistą klamrą z rubinów zwisała mu po ramionach. Twarz miał ów

rycerz steraną i tak srogą, że wzrok cofał się od niej szybko jak pocisk od tarczy wykutej z śniadej, twardej miedzi.

Zawrzało w dole od okrzyków ku czci zwycięskiej wodzów, zaroilo się od pstrej ciżby na sali; wniesiono stoły śnieżnym płótnem zasłane, błysła na nich zastawa bogata, szczęknęły srebrne półmisy, zadźwięczały kielichy i rozpoczęła się biesiada, jakiej stary zamek z dawna nie pamiętał...

Wprost Ody, obok króla siedział stary wojownik i nagle, chmurne jego spojrzenia, krążące po sali jak nietoperze, trąciły błyskiem źrenic jej drobną, majaczącą z wysoka, białą twarz, podobną raczej do ślicznego snu, ważące się widomie w przestrzeni, snu, który nie zdążył jeszcze pierzchnąć całkowicie sprzed zbudzonych oczu...

Poglądał tak na nią z obliczem w górę podanym, długą, dotkliwą chwilę, aż się zaróżowiła pod tym patrzeniem i aż się jej brwi ściągnęły królewską wzgardą.

Omroczył ją cień tych oczu, odurzył gwar głosów śmiałych, podnieconych winem; szczęsny poryw chwili i gorąco ciżby bijące ku niej, oblewało jej kwietne czoło skwarnym tchnieniem. A w piersi — choć dawno już umilkła za murami — potężnym, niecichnącym dźwiękiem drżał pogłos tryumfalnej, dziękczynnej pieśni młodzieńczej...

Wpadały jej w uszy strzepy mowy swobodnej, jaka przy niej nie gadano nigdy, jawiły się nieznajome

widzenia, słowy tymi zwołane i otwierało się coś przed nią, niby wrota ogromne, uroczyście, powoli, szeroko...

Naraz, powstał ze złotego krześliska król-ojciec i z pełnym kielichem w prawicy, sławić począł księcia-sąsiada. Bez jego pomocy — jak mówił — nie zostałyby wojska zaborcze odparte ani w dniu dzisiejszym święcone być mogło zwycięstwo. Mówił długo, kunsztownie myśl z myślą sprzęgając, wreszcie zawołał:

— Zadaj czego chcesz! Cały skarbiec mój stoi dziś dla ciebie otworem! Sprzymierzeńcowi w doli i niedoli, godna się patrzy nagroda!

Wtedy stary książę nachylił się spieszenie do króla i odrzekł, wskazując mu ręką Odę na kamiennym ganku:

— Tę oto daj mi, nic więcej...

Król spojrział w górę i jakby ciosem nagłym rażony, zmartwiało. Na widok córki twarz stężała mu przez mgnienie oka w gniewie i żalu śmiertelnym, w lot jednak opanował się i dał znak Odzie, aby zeszła.

Jej ani marzyło się nawet, po co schodzi.

I poszła tak jak była, w srebrnoszarej, codziennej szatce, we wianku bladożółtych pierwiosnków, których nikły, jabłeczny zapach, zdawał się być wonią jej własnych lat szesnastu. Schodziła cicho w miękkich, ważkich butkach, srebrem szytych, omotana w pajęczą zasłonę barwy popiołu, a ręce jej tuliły do piersi najmilszą lalkę, z którą dotąd jeszcze rozstać się nie mogła. I Oda usłyszała w tej chwili wyraźnie żywe, bijące serce lalki...

Sama nie wiedziała, jak i kiedy się to stało, dość że posadzono ją w głębokim, rzeźbionym krześle między ojcem a starym księciem i czuła z bliska na twarzy jego spojrzenia, ciemne, niespokojne, jak lot nietoperza.

Wówczas podjął król rzecz swoją na nowo. Mówił jakby z wysiłkiem, zbyt mocno głos unosząc, jakby się sam w sobie z własną wolą mocował, słowa pełnymi czci, którym jednakże dźwięk ich przeczył i uwłaczał. Na koniec ujął rękę Ody i podając ją chmurnemu wodzowi powiedział:

— Najmilszym, co mam, dziękuję ci! Najdroższym, co mam, nagradzam cię! Jam rzekł, tyś zażądał... Niech się spełni. Bierz córkę moją za żonę i wiedz, że prawdziwie cenniejszego klejnotu nie masz w skarbcu moim! Strzeżże go, jako i ja strzegłem.

Po czym król, nie spojrzawszy w oczy królowny, opadł w poręczce krzesła.

Wstał książę-sprzymierzeniec, a suche, mocne jego palce opłotły niby kręte korzenie jałowca małą rączynę Ody.

— Dziękując, biorę, wzięwszy, strzec będę! — wyrzekł krótko, głosem szczękającym jak miecz po pancerzach, po czym słowami, które padały twardo, podobne cięciom niechybnym, oddał królowi cześć rycerską wzajemną.

Oda słuchała bez tchu, tylko serce lalczyne tłukło się o złotogłów spłoszonym, coraz głośniejszym łopotem.

Dopiero gdy szybki oddech starego księcia owiał jej nietknięte czoło pragnieniem pocałunku, zachnęła się

przed tą nieznaną pieszczotą jak przed dotykiem błony nietoperzowej.

Na nowo wzbiły się pod strop okrzyki wrzawliwe: przy święcie zwycięstwa święcono oto święto wtóre: zrekowiny Ody królowny. Popłynął w puchary jeszcze starszy miód (gwoli wieku oblubieńca — jak sobie śmielsi przygadywali do ucha) — miód cudownie wonny, o lepkich połyskach bursztynu, tu i ówdzie huknął głos jakiś junaczy śpiewką weselną, zapiszczały gęśle, zadzwoniły cymbałki, pośród gwaru i ochoty świątecznej, któżby pamiętał o wróżbach?

Na szyi Ody gorzał trzykroć o nią owinięty łańcuch bezcenny, jarzący się ogniem diamentów przepysznych, dar księcia oblubieńca, z własnej jego piersi zdjęty. A zaś z serca królowny oddalało się owo śpiewanie poranne, odpływało z jej pamięci jakimś płaczem cichym, jakimiś łzami proszącymi się z oczu na blask, na swobodę żalu — daremnie. Nie płakała jednak, tylko dusza jej wyteżyła się w słuchanie ostatnich przypomnień tego, co milkło, zamierało i gasło...

Jak martwy, chłodny klejnot darował ją ojciec staremu księciu. Dał ją temu obcemu na własność, jak ona dawała swoje lalki, jak ciskała w ogień zabawki bursztynowe, tak ją cisnął dziś — ojciec...

I gdzie pierzchła ta cudność, zwiastunna? Ta radość dźwięcząca młodych, tysięcznych głosów? Wróciła pewno tam, gdzie pachnąć wolno malinom, gdzie się barwą ust dziewczęcych szklą wczesne czereśnie, skąd rodem kwiaty i wichery i śnieg.

I gdzie jest to wszystko, co jest, a o czym wiedzieć nie będzie nigdy?!

Mrok już zapadał, niebo mieniło się sinością zwiędłego bzu i błękitem barwinku, zapalono rzesiste świeczniki, a Odzie przypomniały się takie same płomyki, drżące około trumny matki i żal straszny ścisnął serce królowny.

Spojrzała naokół, mnogość biesiadników, trudem wojennym i ucztą znużonych patrzyła już nie swoimi zgoła oczyma albo spała, gdzie który padł; inni zgiełk jeszcze czynili niepomierny, jakby sen natrętny spłoszyć chcąc z powiek.

A gdy król-ojciec, senny miodem, objął ramiony księcia-oblubieńca i gdy tak ze sobą sojusz wieczny święcili, kołyszając się w tym przymierzu bezpamiętnym jak dwa dęby na wichrze zwężłone konarami — Oda wstała i niepostrzeżona, niezatrzymana przez nikogo, wyszła wielkimi drzwiami ze sali.

Weszła w ciemny, nieznajomy krużganek, szła odważnie, byle precz, byle dalej od tego, któremu darował ją ojciec. W dali przed nią niebieściał ostrym łukiem rozwór wielkiej, wjazdowej bramy. Ciężkie jej skrzydła stały otworem, na oścież. Wszakże nie było ich już przed kim zamykać.

Oda stanęła na progu ojcowskiego grodziska, a chłodna świeżość przestrzeni witać się z nią jeła jak z dzieckiem rodzonym.

W blasku gwiazdy wieczornej ujrzała oto, po raz pierwszy — świat.

Na łąkach u stóp skały zamkowej, jak rzucony rycerski pas, srebrzyła się rzeka i modrzały rozległe obszary dolin.

Świat, otwarty, szeroki, cudowny świat!

Oda stała, a oczy jej szły wolne w tę dalekość, otworzoną na oścież ku ziemiom i gwiazdom, patrzyły na dziwaczny, nigdy nieoglądany zarys baszt i bystrych dachów grodziska, które jej się światem wydawało tak długo — i z rąk królowny wypadła lalka ulubiona, a w sercu zbudziły się znów stracone dźwięki, potężnej, niezapomnianej pieśni. W ostatniej szarzyźnie zmierzchu, szybko, nie oglądając się za siebie, zbiegać poczęła Oda-królowna ku dolinom. Nikt nie wyjrzał za nią z zamku, a choćby i spojrział, dostrzegłby jedynie coś jak strzępek mgły wieczornej opadający po zboczy.

Uciekała, a nad nią rozjarzało się pierwszymi gwiazdami niebo szafirowe, podobne do sukni jej matki, która dawno umarła.

Cienki nów wisiał nisko nad lasem, godząc błyszczącym ostrzem sierpa w nieruchomo-czarną głębię boru. Zanurzał się w nią szybko, malał w iskrę gwieździstą, wreszcie zapadł zupełnie.

Wtedy porwał się od nizin wichur, przyczajony w łożach nad rzeką i zadał z całej mocy. Z nim nadleciało coś, jakiś jęk daleki, żaloszny, jakiś wyzyw urągliwy boleścią, coś, co targnęło sercem Ody jak rozpaczliwe wołanie...

— Idę!... — wymówiła w głos, jakby odpowiadając na wezwanie czyjeś.

Szła już teraz równią przestrzenną, a srebrzyste jej butki grzęzły w miękkiej, rosistej darni. Nagle potknęła się.

Przed nią ciemniało błonie rozległe, a na nim słał się wysoki pokos ciał, rzuconych o ziem w poniewierce straszliwej jak szaty znoszone, stargane i królewna, przy świetle gwiazd coraz jaśniejszym rozeznawać poczęła twarze ludzkie i zastygły na nich ból okrutny, widziała tułowie padłych rumaków, zakute w blachy i złotymi czapraki okryte, ręce nieruchomych jeźdźców, co legli wedle koni, pozwijane w pięści lub w szpon drapieżny zwinięte... Jedni padli twarzami w ruń lepka od krwi, inni patrzyli niezmrugłymi oczyma prosto w granatowe, gwieździste niebo — groźni, uroczyści tą powagą patrzenia okrutną, tym bezruchem poniewierki ostatniej, niedbającej już o nic a wyniosłej przecie...

Gdzieniegdzie porywał się jęk ów, wichrem niesiony w zaświaty, jęk niepokieszony niczym na ziemi, płacz duszy młodej, żegnającej zabite swoje ciało...

Oda szła przez pobjowisko, nie rozumiejąc nic, nic, prócz ogromu olbrzymiej jakiejś krzywdy i żal jej było, i strach, i wstyd, aż do bólu...

Bo tam, w grodzie na górze, lał się jeszcze ciągle miód w kielichy i dwór wciąż jeszcze weselił się zwycięską radością żywych.

Szła z pierśią pełną płaczu i litości, zbratana własną swoją krzywdą z tymi o nieruchomych w niebo patrzących żrenicach. Szła nie słysząc, że za nią, wśród ciał poległych wojowników, suną się tuż nad ziemią

dwie postacie, pełzające ostrożnie, że dwie pary złych, kocich ślepi policzyły już wszystkie diamenty jej wspaniałego łańcucha; że grabieżcy nocni, żerując na pobojuwisku, kradną zabitym złote pierścienie z rąk, zwlekają odzież kosztowną i pasy, łupią drogie kamienie, rwą guzy...

Oda nie słyszała szelestu ich stąpań ni dźwięku sprawnie grabionego złota, bo oczy jej przymarły oto, zachwytem żalonym do martwej, młodzieńczej głowy, leżącej w złocie skrwawionych włosów, twarzy nieprzyśnionej w snach żadnych, niezaznanej nigdy, przecudnej...

Leżał nieruchomy jak tamci z twarzą ku gwiazdom obróconą, piękny jak ów dźwięk, na którego brzmienie zwiastunne, dusza Ody otworzyła swe oczy królewskie po raz pierwszy.

Królowna schyliła się nad poległym i wszystka jej rozkwitła nagle i złamana młodość, ukorzyła się w rozpaczliwym hołdzie przed pięknnością tych lic rycerskich, wszystek płacz niesiony w piersiach, płacz nad sobą i nad wszystkim, rzucił się z jej oczu nad tą głową młodzieńczą.

Uklękła i wianek swój z białych pierwiosnków, własną jej młodością pachnący, włożyła umarłemu na skronie.

— Tyś mnie-to wołał, przywołał... Przyszłam... Twoja jestem! Ciebie chcę, nikogo! Ty jesteś prawy zwycięzca! Tyś oblubieniec mój... — szeptała Oda z ustami przy ustach rycerza, a ciepła woń jej pocałunku

oblała zapachem pierwiosnków cudne, ostygłe w spokoju wiecznym wargi.

Głazny chłód ust pocałowanych przeraził ją... Wyprostowała się w nagłym lęku jak odgięta łodyga kwiatu.

...Wtem, znienacka ból — jak zakrzywione ostrze nowiu zapadające w jej pierś coraz głębiej, coraz głębiej...

Królewna zachwiała się i — z powłóczystym błyskiem diamentów padła bez jęku na zimny puklerz rycerza.

To ostrożnie pełzający ludzie posłali ku niej cichą, celną strzałę w samo serce.

Maryla Wolska
Była raz królewna

Redakcja: *Anna Oldak, Hanna Milewska*

Projekt okładki:
STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINALENTE 2013

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-341-5

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINALENTE

www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl